

## KWADRAT ZBIGNIEWA ŻAKIEWICZA

Kwadrat był i pozostaje dla mnie figurą magiczną, tak samo jak okrąg czy wśród brył — kula. Wyznacza on pewien regularny obszar i jego granice, których przekraczanie sprawia, że wchodzimy w nowe relacje ze światem i jego jawnymi oraz ukrytymi znaczeniami i sensami. Zbigniew Żakiewicz miał wiele takich kwadratów, ale jeden z nich inkrustowany kresową duchowością towarzyszył mu od narodzin i to on uczynił z niego Wołka-Wołczackiego, dzięki czemu Autor ten zapisał się w mojej pamięci wielobarwnie i polifonicznie.

Gdy pisałem przed laty o książce Zbigniewa Żakiewicza *Rosja, Rosja...*, pozwoliłem sobie wtedy na osobistą refleksję. Nazwałem tę książkę niezwykłą, a moje przekonanie wypływało w sporej mierze ze wspomnień związanych z czasami, gdy Autor w trakcie studiów był moim uczelnianym Mistrzem, potem Kolegą uniwersyteckim i w końcu — Przyjacielem. Zawsze podziwiałem intelektualną elegancję Zbigniewa Żakiewicza i Jego wielkie poczucie humoru, takie właśnie wołko-wołczackie. Nazywał publicznie Profesora Bogusława Żyłkę i mnie swoimi najlepszymi studentami, co odbierałem jako nadzwyczajne, wołczackie, wyróżnienie. W *Rosji, Rosji...* znalazły się prorocze słowa Autora *Tryptyku wileńskiego*: „Wielka literatura zabija swego twórcę, w perspektywie czasu ginie człowiek, ale pozostaje jego dzieło, już wyzwolone z ograniczeń czasu, przypadkowości chwili, której podlega człowiek żyjący” (s. 70). Powtórzę w tym miejscu, jak w recenzji sprzed lat: „I wszystko wskazuje na to, że ten okrutny, ale zarazem wspaniały los, gdy traci się siebie, by istnieć w wieczności, spotka także Zbigniewa Żakiewicza”. Dzisiaj mogę dodać: i spotkał.

Poniżej prezentuję *Kwadrat Zbigniewa Żakiewicza*, na który składają się cztery recenzje, jakie opublikowałem przed laty głównie w „Pomeranii”. Niech dobrze służą przywracaniu pamięci o Tym, którego tylko pozornie nie ma już wśród nas.

Grzegorz Ojcewicz

## I ta dusza po polsku płacze

*Zostanę się już zabity i pod Mołojcewem,  
między Lebidziewem i Krewem, bendem leżeć.*

Język *Wilczych łąk* pulsuje świeżością: kunsztownie wplecione w tkankę narracji elementy mowy kresowej uwierzytelniają retrospektywną wyprawę Żakiewicza na wschód — ku temu i tym, których, pieści pamięć, ku źródłom autorskich rozmyślań o czasie, historii, ludziach. W przypadku *Wilczych łąk* nie o języku utworu trzeba mówić: książka zmusza do refleksji nad bardziej poważnymi sprawami — jest głosem o barwach patriotyzmu, jego korzeniach i utrwalaniu się, jest uniwersalną wskazówką dotyczącą kształtowania narodowej (poprzez regionalną) tożsamości dziecka, które w czasie dojrzewa i dorósłaje.

Rysio Wołczacki, bohater *Wilczych łąk*, jest jeszcze dzieckiem. Ma pięć, a może siedem lat... We wrześniu 1939 roku powinien był pójść do szkoły. Mieszka w Mołojcewie — mieście, należącym przed wojną do Polski. Rysio ma duszę wrażliwą. Dziecięce „dlaczego?” nie daje mu spokoju: popycha do działania, jest siłą sprawczą, zmuszającą chłopca do nieustannych poszukiwań odpowiedzi na rodzące się każdego dnia coraz trudniejsze pytania, będące wyrazem starań zaprowadzenia ładu w otaczającym go świecie spraw własnych i ludzi dorosłych.

Świat fantastycznych dziedów i pacuków — bohaterów dziecięcej wyobraźni — żyje naprawdę: Rysio ich widzi, z nimi rozmawia, walczy. Tenże świat fantastycznych doznań jest jednocześnie dla Rysia prologiem-inicjacją w pojmowaniu skomplikowanej struktury życia dorosłych. Rysio jest małym świadkiem wielkich rzeczy: na oczach dziecka DZIEJE SIĘ życie, STAJE SIĘ historia. Przeszłość i terażniejszość niespokojnie pulsują, przeczuwając przyszłość. Zatopiony w trójwymiarowość bytu — tradycję, dziś, jutro — chłopiec stara się na swój dziecięcy sposób wytłumaczyć sobie i innym SENS DZIANIA SIĘ rzeczy, usiłuje zaprowadzić porządek w sercu własnym i tych, co go otaczają.

Ten dziecięcy „introspekcjonista” pewnie wyczuwa tętno zachodzących zmian. Że świat się zmienia, podpowiada mu i przyroda, i instynkt. Świat, jakim postrzega go Rysio, nigdy NIE JEST — ciągle się staje, każdego dnia dostarcza nowych wrażeń. O tym, że dzianie się życia dorośli nazywają historią, dowie się Rysio od Powstańca — przypadkowego nauczyciela prawd wiecznych. Okaże się wówczas, że „historii nie trzeba się uczyć. Zawsze jest ona jednakowa — powstawanie i upadanie, i znów powstawanie”.

W życie chłopca coraz mocniej wdzierają się CZAS — ten wieczny, ze świata bajek, i ten żywy, którym żyją dorośli. Fantazja i rzeczywistość — świat leśnych i domowych ludków — Oraz codzienność są barwnym tłem dla poszukiwań własnej tożsamości. Potrzeba identyfikacji, a ściślej — samoidentyfikacji — towarzyszy Rysiovi nieustannie. SKORO JESTEM — KIM JESTEM? Padają pytania dotyczące przeszłości, nękające historię, nie pozwalające usnąć poczuciu narodowej przynależności. I chociaż dla dziecka niezrozumiałe są jeszcze w pełni nazwy, którymi posługują się dorośli, niepojęte pauzy i aluzje, gdy mowa jest o jakiejś tam Polsce — ojczyźnie, męczy go każda niepewność i niewiadoma i stara się on natychmiast je rozwiązać.

Żakiewicz nie ukrywa powagi spraw patriotycznych. To właśnie dziecko jest u niego poszukiwaczem prawd wiecznych i dziejowych, jest zarazem wyrazicielem autorskich intencji, sposobu patrzenia na świat. Dziecko jest bohaterem, a nie dorosły, bo to właśnie dzieci obdarowuje się bogactwem historycznego dziedziczenia: tradycją, przeszłością, poczuciem narodowej przynależności, interpretacjami dziejowych wydarzeń. Barw patriotyzmu trzeba uczyć się wcześniej. Kształtowanie narodowej tożsamości, identyfikowanie się z danym narodem nie jest sprawą błahą, do nadrobienia: pytania „być albo nie być?” nie odkłada się na później. Każda zwłoka w historii kosztuje wieki. Tożsamość narodową kształtuje życie: ciągle i teraz, zawsze i wszędzie. Dlatego też tak brutalnie w obraz fantastyki dziecięcej wkracza, bo wkroczyć musi, historia. Dziecko postrzega życie, chociaż jest ono historią, widzi i odczuwa jego jakościowe zmiany, po dziecięcemu szuka dla tych zmian imion i treści.

Zanim Rysio Wołczacki wykrzyknie: „Nie! Ani ja Litwin, ani Tatar, ani Ruski, ani Polak. Wołk-Wołczacki jestem i koniec”, dowie się od matki, że w niej i w nim „będą i Litwini, i Rusini, i Tatarzy, i Polacy”. Usłyszy, że „bigos ten wysmażyła historia. Ona im duszę dała taką, która ma pamięć. I ta dusza po polsku płacze”.

Szczególne znaczenia w utworze nabiera „wołcza trawka” — symbol konieczności zachowania czystości historycznej pamięci i trwania, historycznego przekazu, symbol tradycji i patriotyzmu, wreszcie — symbol dziecięcych poszukiwań Rysia. Chłopcu trudno odnaleźć siebie pośród otaczających go ludzi: Białorusinów, Ruskich, Tatarów, Litwinów, Polaków.

„— Białorusini oni, tutejsi, czy Polacy? — pytam skwapliwie.

— Tutejsi, ot i wszystko. Polakami oni nie byli nigdy i nie będą. A czy z tutejszych Białorusinami się staną, nie wiadomo — mówi matka, nie do mnie już, ale do siebie. — Język nas dzieli i wiara. I jeszcze coś takiego, czego się nie da opowiedzieć”.

Żakiewicz nie zmusza czytelnika do podziwiania literackiej biografii Ryszarda Wołczackiego. Udaje mu się jednak zasiać w czytelnicznym sercu ziarenko „zazdrości” — chęci przeżycia własnego dzieciństwa tak barwnie i dojrzale, jak bohater *Wilczych łąk*. Wyraźnie pulsuje autorskie życzenie, by powrót do historii, do przeszłości, do wspomnień, do dzieciństwa, był, jak w wierszu mickiewiczowskim, „krajem, który radośnie się wita, gdzie rzadko się płacze, a nigdy nie zgrzyta, gdzie człowiek po świetle biegł jak po łące” — pogodnie!

U Żakiewicza te łąki są wilcze — symbolizują trud samostawania się i samorozpoznawania, mówią o męce tropienia i poszukiwania tożsamości własnej, samoidentyfikacji. Życie jest ową WILCZĄ ŁĄKĄ — wypadkową wilczego znoju zmagania się ludzi z losem i mickiewiczowskiej łąki — radości, czerpanej z biegu po niej. Żakiewicz pozwala nam wierzyć, że szczęśliwe dzieciństwo — pamięć o łące — jest podstawą życiowego optymizmu. Optymizm ten wszakże zmniejsza się proporcjonalnie do zła, którego źródłem są dorośli.

Symbolicznej wymowy nabiera finałowa scena książki: totalne „leżenie” bohaterów *Wilczych łąk* z „sercami przygwożdżonymi na wieki do tej białej łąki zakwitłej na różowo”. Żakiewicz ostrzega przed brakiem „leżenia” i oczekiwania miłosierdzia Bożego i ludzkiej pamięci. Żakiewicz wie, że „kiedy dziedy chichocą jak najęte, bo im się wydaje, że ich dziedzowanie górą jest” — źle się dzieje. Chichotu tego lekceważyć nie wolno.

Po lekturze długo jeszcze słyszeć będziesz wyrocznie baby w białej chustce: „Do końca życia, synok, tutaj twoje serce będzie wracać. Choćbyś był za żelazną górą i za kamienną rzeką. Wołk ty pański i wołczok ty nasz. Tutejszy ty jak zdrowie my dla ciebie. Kiedy nas stracisz, dyk za nami zatęsknisz. Jak nas znajdziesz, dyk nas nie poznasz. A kiedy dusza zacznie usychać, wódką ty ją będziesz krzepił, po naszymu”. Nikt leżącego Rysia Wołczackiego z tej łąki-pola „nie zwlecze bo dusza jego, która ni to wołcza, ni to ludzka — za nic ciała nie wróci”. ...I ta dusza leży, i po polsku płacze...

Grzegorz Ojcewicz

Pierwodruk: „Pomerania” 1984, nr 2, s. 24–25.

## Gdy prosta jest tylko droga życia

*Pani Ewie Nowak-Ludwichowskiej poświęcam*

Opowieści żartobliwe Zbigniewa Żakiewicza, czyli *Ciotuleńka*, nie są wcale wesołe, wręcz przeciwnie — melancholijne. Nostalgii całości nie zmniejsza finezyjna figlarność większości rozdziałów. Polekturowy smutek bierze się głównie z zadumy nad złożonością kondycji ludzkiej, przemijalnością rzeczy i jednorazowością istnienia człowieka.

Tytułowa bohaterka, Ewelina Puciatowa, to jedność i dwoistość zarazem: pochodzi „stamtąd”, ale zbyt długo mieszka „tu”, by nie czuć się częścią nowej ojczyzny. Pamięta ostro „tamto”, lecz i tego, co jest tutaj i teraz, także nie może nie widzieć, słyszeć, rozumieć. Wspomnienia, a więc przeszłość, konkurują z codziennością — częścią współczesności. Porównywanie dawnego z dzisiejszym traci z biegiem lat na kontrast, ale do końca życia jest obecne w umyśle oryginalnej ciotuleńki.

Jest ona kobietą z krwi i kości: je, błogosławiąc dary, pije chętnie również śliwovicę z osławionego i symbolicznego już kryształowego pucharka. A pomimo tego, pomimo swej zwykłości nie sposób odmówić jej wileńskiej niezwykłości — ginącego nieodwracalnie kresowego stylu bycia i myślenia. Skąd płynie magnetyzująca sympatia dla ciotuleńki? Dlaczego budzą się pragnienia mieć taką właśnie krewną, dla której nie ma rzeczy niemożliwych? Czy nie stąd i nie dlatego, że Ewelina Puciatowa jest uosobieniem biblijnych tęsknot śmiertelnych? Czy nie stąd i nie dlatego, że jest ona mocą, miłością i rozumą zarazem, pokorą, cichością i cierpliwością jednocześnie, równością, dobrocią i łagodnością w jednym ciele?

Jako leonpoliszanka zachowała naturę pogańską, skłonną ku wszelakim mistycyzmom, naiwność i chitrenkość dziecka, pamiętliwość Żmudzina, otwartość dzikich, co rośli niby trawa, zamkniętość kamienia, który soku swego nadaremno nie wypuści. Jako lipniszanka-lipuszanka stała się podobna ziemi kościerskiej i jej mieszkańcom poprzez swą skrytość i upór, regionalną „nieobliczalność” i uczestniczenie z Kaszubami w pochodach pod historyczną górkę lub z górki. Zjadła z nimi beczkę soli, by móc szczerze rozmawiać, a oni szczerym kwiatem zakwitnąć przed nią mogli.

Inność Puciatowej nie jest odczuwana przez Kaszubów w kategoriach odmienności kulturowej. Ogranicza się głównie do demonizowania jej, być może, nadnaturalnych zdolności rozumienia mowy zwierząt, lasu i grania sfer niebieskich. „Wiedzenie” ciotuleńki nikomu wszakże szkody nie przynosi, nikogo była leonpoliszanka swymi oczyma nie krzywdzi; przeciwnie: wszędzie tam, gdzie się zjawia (chce tego czy nie), czyni dobrze — uzdrawia, pociesza, czyni „cuda”. Jest człowiekiem dla człowieka i ludzka dla przyrody. Śmierć koguta-Kuby, syrenę alkoholowych celebracji, odbiera tak boleśnie, jak by chodziło o zgon najbliższego krewnego, jedyne go spadkobiercy... Uchodzi w okolicy za kresową dziwaczkę, ale kresowość i dzikość to nieodłączne cechy ciotuleńkowego temperamentu; bez dzikości tej i kresowej czupurności nie sposób ją sobie w ogóle wyobrazić.

Rodowodowa inność, niekaszubskie korzenie wszystko to okazuje się nieistotne, gdy szlachetnością swą zasługuje sobie bohaterka na bojaźliwe wręcz poważanie wśród lipniszanlipuszan i okolicznych mieszkańców. Inność ta staje się nawet do tego stopnia nieważna, że zasiedziali Kaszubi obiecują ciotuleńce wspólne przebywanie w lipińskiej kwaterze numer siedemnaście. Lipiński grobowiec ma szansę zostania podniesionym do rangi symbolicznego sanktuarium, domu wieczystego przymierza najprzeróżniejszych losów, najrozmaitszych światopoglądów, najprzedziwniejszych profesji. Wobec wieczności wszyscy są bowiem równi i o prawdzie tej pamiętała ciotka Ewelina do końca.

Przed przeczuwanym rozstaniem na zawsze — nadchodzi czas pożegnań. Nagle, chociaż spodziewanie, pęka kryształowy puchar: omen, przynaglający do porządkowania spraw doczesnych. Obdarowawszy miłych sercu posiadany najcenniejszym, zapragnęła już tylko jednego: umrzeć w czerwcu, gdyż sama jest czerwcową i miesiąc ten wydaje się jej najpiękniejszy, rajski.

I życzenie się spełnia. Umiera ciotuleńka spokojnie i godnie, w zgodzie ze światem i ludźmi, Bogiem i sumieniem (ale nie miejscowym proboszczem, co z kaszubska dwa nazwiska nosił...), a kręta dotąd droga życia przekształca się w najbardziej prostą z wszelkich prostych, z której i zbroczyć niepodobna, i zawrócić nie można, albowiem wiecie ona w jednym jedynym kierunku ku snopowi nieziemskiego już światła...

Ciocie, ciotki, ciotki — były i będą; są powszechnie i powtarzalne. Ale ciotuleńki — relikty co najmniej dwóch epok i kultur — to gatunek skazany przez surową biologię na wymarcie. Dobrze więc, że zachowujemy je przynajmniej, a może właśnie przede wszystkim, w pamięci dzięki literackim portretom, jak ten — namalowany czarnym słowem Zbigniewa Żakiewicza.

Grzegorz Ojcewicz

Pierwodruk: „Pomerania” 1988, nr 7–8, s. 55.

## Żyj TERAZ!

*Pożądanie Wzgórz Wiekuistych* Zbigniewa Żakiewicza jest książką niezwykłą; to rzecz najpoważniejsza, najbardziej złożona i najbardziej osobista w całym dorobku artystycznym tego pisarza. Niezwykle, choć niesymbolicznie, brzmi już sam tytuł.

Niejednoznaczny związek wyrazowy „pożądanie wzgórz wiekuistych” informuje w takim samym stopniu o podmiocie, który pożąda, jak i o obiekcie owego pożądania, czyli wiekuistych wzgórzach.

Z jednej więc strony tytuł ten mówi o człowieku pragnącym dotrzeć do biblijnych wzniesień, by zgłębić tajemnicę niekończącego się życia, sensu cierpienia i majestatu śmierci. Jest zarazem zapowiedzią (a książka świadectwem) kontemplacyjnego (ale zdarza się, że i gwałtownego) wysiłku poznawania rzeczywistości; tej, dostępnej zmysłom i tej niedostępnej, metafizycznej. Z drugiej zaś — to od człowieka żądają czegoś wiekuiste wzgórze utożsamiane ze Stwórcą, każąc wsłuchiwać się i szanować wolę niebios i natury.

To wytrwale wsłuchiwanie się w głos dochodzący ze Wzgórz Wiekuistych przesądza o medytacyjnym charakterze autorskiego słowa; ściślej — trój słowa. Każde z nich istnieje może samodzielnie, każde ma znamiona oryginalnej literackiej kreacji, każde zaświadcza o trudzie samopoznania i źródłach duchowych podniet.

Słowo pierwsze, wybitnie malarskie, sycone impresjonistycznymi detalami, kreśli wprawnie nadmorskie, kaszubskie i górskie pejzaże pełne przeróżnych stanów przyrody, jej barw i dźwięków. Dla poszukiwacza bałtoślówiańskiej tajemnicy Północ ujawniła z bezprzykładną szczerością swą melancholijną surowość, samotność i swe mistyczne mroki. Nie raz stawał autor w najdalszym północnym skraju ziemi, w tym najwyższym punkcie mapy, skąd niezmiennie rozciągają się widoki rozległe aż do granic możliwości. Nie raz też zjawiał się on w majestatycznych górach, by, wzorem bohatera romantycznego, uczyć się od milczących szczytów mowy Wzgórz Wiekuistych.

Natura gra u Żakiewicza rolę szczególną: ogląda nas swym fiołkowym spokojnym okiem, trwa dumnie, domagając się pokory wobec ziemskich i morskich żywiołów, dostarczając niedotykalnych sił po duchowych klęskach; zdeterminowana pierwotnym porządkiem świata zadziwia wciąż biologiczną konsekwencją, cyklicznością, odwiecznym rytmem rodzenia i umierania, pojawiania się i odchodzenia, brakiem lęku przed przemijaniem i śmiercią. Ale Przyroda pełni u Żakiewicza także funkcję ponadbotaniczną: będąc moralnie obojętną, nie znającą pojęcia dobra czy zła, znajduje się poza naszym światem wyzwalaając w człowieku postawę estetyczną. Dla ludzi dawnych Kresów uchodzi za twórczy śmiech Boga, Jego wspaniałomyślny żart, zabawę w chowanego, w dziecięce „zimno, ciepło, gorąco”.

Słowo drugie, szczególne, jest mówieniem o sobie, ale w trzeciej osobie. Takie pośrednictwo, taki narracyjno-gramatyczny zabieg pozwala uzyskać inną (pełniejszą? pewniejszą?) wiedzę na temat zachowań nieobcego przecież pisarzowi pewnego N.N., bo płynącą z ich obserwacji i przez to może bardziej obiektywną od uzyskanej drogą najgłębszej introspekcji.

Słowo trzecie, objętościowo najszerze a treściowo najdonioślejsze, konfesjonalnością swą przewyższa szczerość pierwszego i intymność drugiego. Jak gdyby dopiero tutaj zaczynał się właściwy dziennik, literacki zapis rzeczy prywatnych, jednak tylko pozornie wyłącznie dla siebie. Rozważanie Tajemnic — erudycyjne pisanie o Bogu, Losie i Historii, zastanawianie się nad wzajemnymi powiązaniem pomiędzy Duchem, Naturą i Wolnością, śledzenie roli Błędu i Przeinaczenia w rozwoju własnym i Dziejów — okazuje się wulkanicznym centrum w duchowej autobiografii pisarza.

Temat sakralny i dziejopisarski zawsze domagał się pióra dojrzałego a myśli niebanalnych. Jedno i drugie odnajdujemy u Żakiewicza w małych traktatach religijnych, miniaturach historiozoficznych, rozprawach literaturoznawczych. Historia dla ludzi dawnych Kresów nie stanowi wcale przeszłości: trwa w ich „dziś”, gdyż, jak u dziecka, pamięć ta nie jest długa, lecz uparta. Historii uczyła Kresowych krew własna, zmieszana z krwią wielu ludów, obdarzając przy tym wiecznym niepokojem mieszańców, a naturę czyniąc płynną, skłoną ku paradoksom i sprzecznościom.

W poznawaniu świata i samego siebie towarzyszą autorowi wielcy literatury — naszej i obcej, dawnej i współczesnej, biblijnej i świeckiej. Tym, co owe dychotomie łączy, jest moralne (lub moralizatorskie) tętno znanych powszechnie tekstów. W ocenie autora sztuka od swego zarania powraca wciąż do ożywczych źródeł, do tajemnicy cierpiącego człowieka postawionego naprzeciw wieczności. Stąd — poetą jest ten, kto posiadał umiejętność powrotu do początków, do prawzoru. Zaś główny cel literatury upatruje pisarz w dziejach druzgotanego Słowa, Słowa wciąż odrzucanego. Sprawców burzliwych fascynacji wyliczyć by można wielu, dla przykładu: Merton, Mann, Hemingway, Faulkner, Pascal, Camus, Kafka, Buczkowski, ale tradycyjnym punktem odniesienia pozostaje niespokojna proza rosyjskich filarów — Dostojewskiego, Tołstoja, Bunina i Cwietajewej; z piszących po polsku — Czesław Miłosz. Wszyscy oni weszli do ludzkiej nieśmiertelności. Wszyscy oni nie byli obojętni w kwestiach Boga, Losu, Historii.

W triadzie tej tematem wiodącym, a zatem najważniejszym, jest dla Żakiewicza sacrum. Na szczególną uwagę zasługuje myśl o chrześcijańskiej dojrzałości oraz antypogańska koncepcja życia chwilą. Owocem chrześcijańskiej dojrzałości ma być pokorne przyjęcie Losu, wyrażające się modlitewną formułą „Nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie”. Do dojrzałości tej wiedzy droga umieszczona w terażniejszości. Czymże jest dla nas, żyjących, chwila? — pyta autor. I odpowiada: chwila to jest TERAZ. Zrozumieć tę prostą z pozoru prawdę i przyjąć chwilę, a więc — TERAZ, to znaczy zrozumieć istotę chrześcijaństwa.

Czy DZIŚ jest dane wszystkim? Okazuje się, że nie, albowiem istnieje tylko dla tych, którzy mają dar kontemplacji, umiejętność przyjmowania przez posłuszną miłość wszystkiego, co otrzymujemy. Działanie takie uważa Żakiewicz za wyraz zgody na samego siebie.

Czymże jest dzisiejsze pogaństwo, jeśli nie trwaniem we „wczoraj” lub — „jutro” — konstatuje pisarz. Wyjaśnia: poganin nie zna TERAZ, gdyż terażniejszość jest dla niego ślepa, ciemna, obłożona wielorakim tabu. Poganin współczesny nie pojmuje, że nie ma czasów tymczasowych, że nie można zawiesić na kołku swej moralności, a sumieniu kazać poczekać. Nie pojmuje on, że im cięższe są czasy, im głębsze mroki, tym donioślejsze wołanie TERAZ. Żakiewiczowskie „Chwytaj dzień!”, „Żyj TERAZ!” odmienne jest od klasycznego „Carpe diem!” Horacego. Nie tyle radość płynąca z rzymskiej cielesności, ile dostojność biorące się z poszukiwań bałtosłowiańskiej duszy stanowi dla autora *Pożądania Wzgórz Wiekuistych* wzorzec życia godziwego.

Miałem do czynienia z piękną, mądrą książką. Ogłoszono w niej bez krzyku i drażnienia to, co dano twórcy poznać, zrozumieć, przekazać.

Grzegorz Ojcewicz

Pierwodruk: „Pomerania” 1988, nr 11, s. 39–40.

## Jaka jesteś, Rosjo?

*Rosja, Rosja...* — dwa takie same początkowe wyrazy w tytule książki i wymowny po nich wielokropek: dwa symboliczne oddechy, dwa głębokie westchnienia, w których zamknięto wspomnienia, współczucie i zadumę człowieka dojrzałego nad labiryntowymi losami naszego wschodniego sąsiada — nad jego historią, kulturą, literaturą. A po tytule, w roli motto, jeden z najbardziej znanych Tiutczewowskich czterowierszy, rozpoczynający się tezą *Умом Россию не понять...* — w oryginale oraz dwóch konkurencyjnych wersjach translatorskich: jednej autorstwa Ryszarda Łuznego, drugiej — Artura Sandauera.

Tekstu nie budują zwykle notatki z podróży, w których braknie na ogół dystansu wobec spraw i ludzi. Zapiski wtopione w panoramę dziewiętnastowiecznej i modernistycznej literatury rosyjskiej, pretendującej nie od dzisiaj do wielkiej roli nauczycielki życia, nawiązują do najlepszych wzorów literatury powszechnej. Są subiektywnym lirycznym reportażem-esejem, przenikniętym wewnętrznym narracyjnym ciepłem, co wcale nie znaczy, że towarzyszy im bezkrytyczny stosunek do bolesnej przeszłości Rosji. Literatura wciąż pozostaje dla autora *Wilczych łąk* najwrażliwszą częścią kultury, zdolną do stawiania trafnych diagnoz w stosunku do współczesności i bezbłędnego przewidywania rozwoju wydarzeń historycznych w przyszłości.

Książka Żakiewicza, mimo że w tytule zapowiada trzydziestoioletnią cezurę (1964–2002), tak naprawdę zaczyna się w roku 1939, inicjującym pierwsze kontakty Autora z bolszewikami, dzięki czemu pole wnikliwej obserwacji nastawionej na powroty ku wileńskim praelementom — prapamięci, praświadomości, prahistorii — poszerza się o następne dziesięciolecia. Szczegóły biograficzne zawarł pisarz w części poprzedzającej narrację właściwą w *Zamiast wstępu*. Z niej dowiadujemy się, że od lutego 1946 pisarz przebywa w Polsce, wędrując przez Olsztyn, Łódź, Wrocław i Opole, by zrobić nagły zwrot i latem 1967 roku osiąść na stałe w Gdańsku, czyniąc z Kaszub namiastkę Wyżyny Oszmiańskiej i by przez geograficzne zbliżenie oraz wspomnienia nie tracić więzi z duchową Ojczyzną, Wileńszczyzną oraz Mołodecznem.

*Rosja, Rosja...* składa się z sześciu części: 1964–1965, 1968–1969, 1971–1972, 1988–2001, *Lektury Rosji*, *Moja Białoruś*. Prawdę powiedziawszy, każdy jej fragment odznacza się całkowitą narracyjną niezależnością i może funkcjonować jako samodzielny szkic. Każdy każe nam działać, zmuszając na przykład do zmiany ustalonych sądów historycznoliterackich. Każdy zachęca do dialogu z Autorem, w którym nie zabrakłoby także miejsca na badawczy spór, na przykład o „szalonego epileptyka” Dostojewskiego czy „bezwzględne” Bunina.

Lata 1964–1965 są zapisem pierwszych wrażeń, których źródłem stała się weryfikacja nabytej wiedzy rusycystycznej z rzeczywistością dwóch molochów: Moskwy i Leningradu. Żakiewicz postępuje, wydawać by się mogło, całkowicie nielogicznie, zaprzeczając swojemu filologicznemu przygotowaniu. Wie przecież, że literatura rządzi się swoimi prawami, zgodnie z którymi fikcji nie uznajemy za prawdę, a mimo to, jak wytrwały detektyw chodzi ulicami znanymi z klasyki dziewiętnastowiecznej w poszukiwaniu wrażeń, otwarty na mierzenie się z wyimaginowaną rzeczywistością, zagląda do domów, poznaje mieszkania i sprzęty, przywołuje obrazy głównie z Dostojewskiego i Tołstoja, kojarzy postacie literackie z autentycznymi pierwowzorami.



Po wielu trudnych wewnętrznych remanentach historycznych i literackich formuluje pojemne kulturologicznie uogólnienia, których ówczesna cenzura na pewno by nie przepuściła. Kusi się o podanie przyczyn bezdziejowości Rosji i pijaństwa Rosjan traktowanego na równi z religią. Odsłania okrucieństwo, wynikające z kultu jednostki. Dostrzega złożoność duszy rosyjskiej, wiecznie rozdartej między Europą i Azją. Żakiewicz przedstawia, bada i rozpoznaje rosyjski charakter, lecz czyni to znacznie spokojniej i bez nadmiernego ładunku ekspresywnego, czym wyraźnie się różni na przykład od Wiktora Jerofiejewa, Rosjanina, który miał odwagę odważnie zdiagnozować swoją ojczyznę oraz swoich rodaków i ogłosić światu zaskakujące wyniki brutalnie szczerzej ekspertyzy w postaci *Encyklopedii duszy rosyjskiej*.

Okres 1968-1969 staje się kontynuacją intelektualnej przygody rozpoczętej na poważnie kilka lat wcześniej. Żakiewicz po raz kolejny odsłania w esejach swe impresjonistyczne inklinacje połączone z niezwykłą wrażliwością na barwy i kształty oraz zbliża się przede wszystkim do jednego z ulubionych pisarzy, tj. Iwana Bunina, za sprawą wnikliwej rejestracji doznań sensorycznych: smaków, zapachów, dźwięków. Buninowi poświęca szkic, aby odsłonić tajemnicę literackiego sukcesu autora *Antonówek*. Poszukuje momentów, w których w jednej chwili łączą się czasy, biografie, style, kultury. Draży. Nie przechodzi obojętnie obok Błoka, akcentując oryginalność jego koncepcji historiozoficznej, wyrażonej najpełniej w poemacie *Dwunastu*, czy naturalną umiejętność porozumiewania się ze światem „bez protez i przenośni” tak typową dla Wielemira Chlebnikowa, franciszkańskiego z ducha twórcy, otwartego na przyrodę, wszystkie czasy i wszystkie kultury.

O ile w poprzednim rozdziale Żakiewicz pisał o naturze duszy rosyjskiej, o tyle obecnie przedstawia spostrzeżenia własne i usłyszane z ust poety Jewgienija Winokurowa na temat natury Polaków. Skrajnemu emocjonalizmowi Rosjan, zdolnych kochać i nienawidzić jednocześnie, gotowych w tej samej chwili do lamentu i zademonstrowania niepohamowanego gniewu oraz okrucieństwa, przeciwstawia się portret Polaka, w którym dominuje skłonność do romantycznych gestów, gloryfikowania fantazji i fantastyczności. W ocenie Winokurowa nie jesteśmy nacją epików, lecz liryków, narodem silnie kochającym wolność.

W poszukiwaniu prapamięci i historii Żakiewicz błąka się niczym petersburskie widmo po starych cmentarzach, cerkwiach, po wybranych ulicach, podwórkach oraz domach-muzeach, aby zmierzyć się z dziedzictwem kultury, by mentalnie i fizycznie zbliżyć się do biograficzno-literackich tajemnic. Do źródeł pisarskich natchnień. Do rozpraw klasyków z samym sobą (np. wątek Karenin — Tołstoj). Łączy ponownie życie pisarzy z ich tekstami. Odsłania paradoksy. Dostrzega paralele osobowe, o których milczą podręczniki literatury. W ten sposób wzbogaca naszą wiedzę o wyniki wnikliwych śledztw w sprawie Dostojewskiego, Tołstoja, Błoka, Bunina, Turgieniewa, Andriejewa, Chlebnikowa czy ornamentalisty Wiesiołego. Niepostrzeżenie przeprowadza czytelnika z jednego brzegu na drugi, z dziewiętnastego wieku w pełne napięcia i nieoczekiwanych zwrotów historii, nowych jakości etyczno-estetycznych następnego burzliwego stulecia. Błoka nazywa Puszkinem rzuconym w XX wiek, doceniając wielkość poety-symbolisty oraz to samo uwikłanie w bieg popaździernikowych wydarzeń, w ten sam co do istoty dramat, którego źródłem było wyostrzone wycucie rytmu historii oraz prorocze widzenie skutków dziejowych zmian.

Następne dwa lata 1971–1972 wiążą się z Rosją Breżniewa, czasem społeczno-politycznych przymrozków, trwania w dziejowym bezruchu nasyconym kafkowską podejrzliwością i najczarniejszym absurdem. Bohaterami tej części książki są bez wątpienia Leningrad oraz Odessa, a spośród twórców — Josif Brodski, poeta obdarzony niezwykle świadomością swoich czasów. Żakiewicz wielokrotnie podkreśla głębokie zakorzenienie Brodskiego w kulturze europejskiej oraz tę samą, jak u Piotra Czaadajewa umiejętność rozmawiania o Rosji bez najmniejszych nalotów wielkoruskiego szowinizmu. Pojęcie „rosyjska klaustrofobia”, rozumiane jako „uczucie zamknięcia i niemożności przekroczenia przekłętej ściany, która odgradza od wolnego świata” (s. 113), świetnie ilustruje stan niewoli twórczej i osobistej otrzymanej w smutnym spadku po czasach Stalina. W Odessie pisarz tropi Babla, dostrzega dramat egzystencji rosyjskiego Żyda na granicy wielu ras i rozmaitych kultur. Tutaj także, nad Morzem Czarnym, stają przed oczyma Lermontow, Mickiewicz, Słowacki, Conrad. Wielcy niepokorni, chociaż każdy na różny sposób. Ponownie odległa przeszłość spina się w obecności wodnych żywiołów z teraźniejszością, przypominając o sile tyranii wpisanej w dzieje Rusi-Rosji i nędznej kondycji zarówno wybitnej, jak też całkiem szarej jednostki wobec trybów wielowiekowej despotycznej maszyny.

Trzydzieści lat 1988–2001 zamknął Autor w dwóch ważnych dla Rosji wydarzeniach: z jednej strony tysiąclecie chrztu Rusi, z drugiej — przekazanie władzy Putinowi. W ten sposób duch połączył się z materią, co znalazło wyraz w zawartości tej części książki. Żakiewicz nie przemieszcza się już z rozmachem po rosyjskich przestrzeniach, nie peregrynuje na linii Leningrad — Tbilisi, jak poprzednio, lecz przygląda się wnikliwie skutkom owych przestrzeni, które przesądzają o inności rosyjskiej mentalności. Jest to fragment gorzki i smutny, absolutnie nieoptymistyczny, albowiem zamiast fascynacji Rosją Autora dopada autentyczne duchowe zmęczenie, stan bliski zapaści. Wcześniej zebrane doświadczenia, w których niemało miejsca zajęły obserwacje związane z brutalizacją życia, codziennymi scenami chamstwa, tyranizowania słabszych przez silniejszych, teraz wybuchły z całą skrywaną mocą. Chaos w sercach Rosjan połączył się z ogólną brzydotą wszystkiego, co komunistyczne i czerwone, co dokumentowało bezmyślne niszczenie historii „białych”. Ale Żakiewicz nie ucieka przed samym sobą, nie zamyka uszu i oczu na jęk i okropności Rosji, bo wie, że „nie ma ucieczki od siebie samego, a jedynie potrzeba zrozumienia, kim się jest” (s. 142–143). Otwarty monolog z Mariuszem Wilkiem staje się dla pisarza dogodną okazją do postawienia tezy o przyszłych losach odradzającego się imperium. „Wielkiej Rosji — czytamy — wciąż grozi implozja - zapaść do środka, wewnętrzny chaos lub wieczny bunt w duchu Pugaczowa czy rozpętanej przez Lenina wyniszczającej rewolucji” (s. 145). To naprawdę poważna przestroga.

*Lektury Rosji* są refleksyjnym zdaniem sprawy pisarza ze studiów dawnych i współczesnych, w których dominuje temat Rosji, natury charakteru rosyjskiego i perspektyw dziejowych tego wielkiego państwa. Żakiewicz wychodzi od tekstu markiza de Custine'a z 1839 roku, widząc we francuskim podróżniku proroka październikowego przewrotu. Autor chętnie powraca także do listów filozoficznych Piotra Czaadajewa, z którym wiąże początek samoświadomości narodowej Rosjan. Literackimi kontynuatorami czaadajewskich „przeczuć” stali się Gogol, Dostojewski, Tołstoj, Sałtykow-Szczedrin, Korolenko, Czechow, Bunin, Gorki. Wszyscy oni wskazywali na występowanie

obok siebie w naturze Rosjan drastycznych sprzeczności, jak pokora i bunt, rezygnacja i nadgorliwość, bezgraniczne poświęcenie i barbarzyńskie okrucieństwo.

Innym świadkiem historii Rosji był Mieczysław Jałowiecki. Jego obserwacje z całą pewnością nie mogły być popularne w okresie totalitaryzmu. Żadna przecież cenzura nie ośmieliłaby się przepuścić na przykład zdania o twarzy Lenina: „Była to twarz nie człowieka, a szatana” (s. 158). Są i inne bardzo dosadne określenia oraz dane biograficzne, towarzyszące ujawnianiu skrzętnie ukrywanej przez komunistów prawdy o wodzu października czy Lwie Trockim. Z kolei Przekłete dni Iwana Bunina i jego Wspomnienia stały się dla Żakiewicza dodatkowym, podświadomie wyczuwanym od Mołodeczna, źródłem wiedzy o nieludzkich czasach oraz impulsem do snucia refleksji między innymi o biesach naczelnych (Lenin, Trocki) i biesach pomniejszych (Dzierżyński, Łunaczarski) minionej epoki totalitaryzmu i ich destrukcyjnym wpływie na ciągłość rosyjskiego dziedzictwa kulturalnego. Uwagi Lwa Gumilowa, syna Anny Achmatowej i Nikołaja Gumilowa, zawarte w dziele *Od Rusi do Rosji* są zdaniem Żakiewicza próbą odpowiedzi na pytanie o stopień europejskości i azjatyckości Rosji. W ocenie Gumilowa duchowa tożsamość oraz siła rosyjskiego etnosu kryje się w byciu Euroazjatami, a więc jakością składającą się z dwóch innych genetycznie komponentów historycznych, mentalnych, emocjonalnych.

Szczególnego znaczenia nabierają dla pisarza materiały najnowsze, jak chociażby książka Witalija Szentalskiego *Wskrzeszone słowo* — z archiwów literackich KGB, wydane już w okresie rozkwitu pieriestrojki i głośności. Tekst ten stał się dokumentem o epoce ukazanej przez odsłony dramatycznych losów wybitnych twórców. Większość z nich straciła życie za uśmierzanie bycia sobą, za otwarte NIE! wobec zdemoralizowanego komunistycznego systemu. Wstrząsająca szczerość dokumentalisty Szentalskiego została zademonstrowana w szkicach poświęconych pisarzom sowieckiego piekła, zaszczutym, znieważonym, rozstrzelanym, jak na przykład Babłowi, Mandelsztamowi, Bułhakowowi, Pilniakowi, Płatonowowi, Klujewowi, ojcu Pawłowi Fłorenskiemu, a nawet ulubieńcowi Kremla — Gorkiemu. Ich teczki opatrzone w Łubiance napisem *Вечно хранить!*, utrwalając dla potomnych ogromne ostrzeżenie przed możliwością powtórzenia się historii i pozornej bezkarności głównych „mechaników” ówczesnego ustroju. Każdy z twórców, którzy, jak Klujew, przewidywał upadek reżimu i kres bezmyślnego ludobójstwa, był zagrożeniem dla jedynie słusznego systemu i musiał zginąć. Ten sam system zadbał o pełne, ślepe i skuteczne instrumentarium w postaci Związku Pisarzy Radzieckich, którego panteon — dzisiaj zapomniany — był uprzywilejowany, lecz nie za dokonania twórcze, a postępy w sztuce donosicielstwa. Fakt ten Żakiewicz skomentuje z właściwym sobie dystansem: „Zamordowani pisarze powracają w swych dziełach i historii tragicznej egzystencji. Twórcy literatury socrealistycznej wpadają w otchłań zapomnienia lub hańby” (s. 177); bardziej hańby — chciałoby się dopowiedzieć za Autorem Rosji, Rosji...

*Moja Białoruś* zamyka rozważania Zbigniewa Żakiewicza nad Rosją i Rosjanami. Autor powraca raz jeszcze, przestrzegając zasad kompozycji literackiej, do najmłodszych lat, okresu, gdy „po życiu biegał jak po łące”. Bohaterami tej części książki są bez wątpienia trzy postacie: poeta białoruski Janka Bryl („białoruski Iwaszkiewicz”, świadek samobójczej śmierci pułkownika Dąbka na Oksywiu), białoruski nauczyciel Żakiewicza z 1944 roku — Julian Sierhiejewicz, i najmłodszy wójt w wolnej Polsce,

Feliks Żyłko. Trzy odmienne życiorysy, trzy różne losy, *три судьбы...* Poznawszy dzieje rodziny Żyłków, którzy powrócili w 1956 roku z Kazachstanu, dokąd wywieziono ich z litewskich Żodziszek, w których wszystkie sprawy sekretarskie prowadził stryj Żakiewicza, Henryk, uświadomiłem sobie, jak mały jest jednak świat. Syn Feliksa Żyłki, Bogusław, obecnie profesor Uniwersytetu Gdańskiego, w 1982 roku wypromował mnie na magistra; pracę magisterską recenzował Zbigniew Żakiewicz, ten sam, który nazywa mnie i Bogusława Żyłkę swoimi najlepszymi studentami. Potem stajemy się Kolegami, następnie Przyjaciółmi. Historia się toczy. Lat przybywa. Ich przeszłość stała się częścią mojej teraźniejszości, a ich doświadczenia — źródłem recenzenckich refleksji.

Czas na syntezę. Moskwa i Leningrad jako miasta-symbole odgrywają w retrospekcji Autora *Rosji, Rosji...* najważniejszą rolę. Nie byłoby Żakiewicza rusycysty bez 17 września 1939, bez Mołodeczna, bez śmierci ojca po tamtej stronie, bez przymusowej emigracji w roku 1946, bez tej wewnętrznej iskry, która powiększała się wraz z dorastaniem chłopca i która już w dzieciństwie, chociaż zapewne wtedy jeszcze podświadomie, nakazała solidnie zbadać w praprzyczynę kulturowego tułactwa po historii i literaturze Rosji. Po „złotym” i „srebrnym” wieku. Dostojewski, Tołstoj i Bunin są dla pisarza trzema najważniejszymi punktami odniesienia w konstruowaniu uogólnień na temat dziejów Rosji i perspektyw jej trwania. W dokonaniach Wielkiej Trójki zbiega się doskonałość literackiej tradycji: formy, języka, prawdziwości obrazu rosyjskiej duszy. Europa i Azja są dla Żakiewicza naturalnymi, bo wpisanymi w geografię, granicami natury wschodnich Słowian, pozwalającymi wytłumaczyć zdolność do niebywałego okrucieństwa Rosjan i jednoczesną gotowość do złożenia z siebie najwyższej ofiary. Dwa ludzkie komponenty — tyran i tyranizowany — są na stałe wpisane w rosyjski pejzaż despotyzmu. Lekarstwa na „chorobę na Rosję”, jak dotąd nie ma, dlatego rokowanie w każdym indywidualnym przypadku osób nią dotkniętych jest bardzo poważne.

Inicjały Autora *Rosji, Rosji...* zamykają polski alfabet, ale pomiędzy literami „Z” jak Zbigniew i „Ż” jak Żakiewicz znajdujemy jeszcze literę „Ž”. Jest ona naturalnym elementem graficznym, symbolicznie łączącym lewą i prawa stronę biografii pisarza, jest oczywistym pomostem między świadomością zrodzoną w okresie dzieciństwa w Mołodecznie a samoświadomością budowaną stopniowo, lecz konsekwentnie, już w Polsce, przez dogłębne poznawanie Rosji i dokonywanie wizji tekstowo-lokalnych przeprowadzanych wielokrotnie nawet na tym samym miejscu historycznych, kulturowych oraz literackich zdarzeń. Żakiewicz niczego z przeszłości nie wykreśla, analizuje własne doświadczenia i własne ograniczenia, by przekroczyć naturę w imię zachowania ciągłości wielokulturowego dziedzictwa, by powiedzieć o sensie sztuki, której zadaniem głównym niezmiennie pozostaje podprowadzanie do progu tajemnicy, do swego rodzaju plus nieskończoności.

*Rosja, Rosja...* Zbigniewa Żakiewicza jest dla mnie książką niezwykłą i na pewno na zawsze taką pozostanie. Moje przekonanie bierze się nie tylko z sentymentu, jakim niezmiennie darzę Jego pisarstwo, ale także ze wspomnień związanych z wykładami Mistrza i czasem studiów oraz wspólnej pracy na Uniwersytecie Gdańskim. Wzmacnia je podziw dla intelektualnej elegancji Autora, „prostej jak podanie dłoni”, zdolnej pokonywać wszelkie sztuczne granice w imię dziejowej solidarności, dla której

nieistotne okazują się podziały polityczne i narodowe uprzedzenia. Dla mnie, dla moich studentów oraz dla przyszłych pokoleń rusycystów *Rosja, Rosja...* będzie wiecznie żywą zaczarowaną fontanną, źródłem słowa, z którego Puszkina i Bunin byłiby jednako dumni. „Wielka literatura — napisze Autor *Tryptyku wileńskiego* — zabija swego twórcę, w perspektywie czasu ginie człowiek, ale pozostaje jego dzieło, już wyzwolone z ograniczeń czasu, przypadkowości chwili, której podlega człowiek żyjący” (s. 70). I wszystko wskazuje na to, że ten okrutny, ale zarazem wspinający los, gdy traci się siebie, by istnieć w wieczności, spotka także Zbigniewa Żakiewicza.

*Grzegorz Ojcewicz*

Pierwodruk: „Acta Polono-Ruthenica” 2010, tom XV, s. 281–287.

GRZEGORZ OJCEWICZ

Profesor emeritus,

Wyższa Szkoła Policji w Szczytnie, Wydział Administracji, Studium Edukacji Językowej;

b. prof., Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie,

Wydział Humanistyczny, Instytut Słowiańszczyzny Wschodniej, Polska

e-mail: gojcew@poczta.onet.pl